

Andrzej  
**TOMICKI**



**21 dni**  
**w**  
**pontonie**

e-bookowo.pl  
WYDAWNICTWO INTERNETOWE

NIEZWYKŁA PODRÓŻ  
**WISŁĄ**  
z KRAKOWA  
DO GDAŃSKA

Andrzej Tomicki

# 21 dni w pontonie

Niezwykła podróż Wisłą z Krakowa do Gdańska

© Copyright by

Andrzej Tomicki & e-bookowo

Zdjęcia: Andrzej Tomicki

Zdjęcie Autora na okładce: Piotr Tomicki

Projekt okładki: e-bookowo

ISBN 978-83-7859-495-6

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

[www.e-bookowo.pl](http://www.e-bookowo.pl)

Kontakt: [wydawnictwo@e-bookowo.pl](mailto:wydawnictwo@e-bookowo.pl)

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości

bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2015

## **Od czego się wszystko zaczęło?**

Jak zawsze - od pomysłu. Od myśli raz zrodzonej w Twojej głowie, która dopóki się nie spełni, dopóty będzie Cię męczyć. A więc wszystko zaczęło się od myśli? Tak. Wszystko ma swój początek w myślach. Dopiero później może przejawić się w życiu. Innej drogi nie ma.

A więc zaczęło się od myśli, od pomysłu. A skąd pomysł?

Z nieba, wszechświata, od Boga, wieczności. Skądś. A skąd wziął się nasz wszechświat? Skądś. Do końca nie wiemy skąd się biorą nasze myśli, pomysły, idee... I skąd się wziął nasz świat. My sami i wszystko dookoła.

A jednak powstało. Było. Teraz jest. Trwa.

Była więc myśl: przepłynąć Wisłę. Poznać rzekę. Zmierzyć się z nią i dopłynąć do ujścia. Po myśli, mogły nadejść czyny... albo nic. Mogła przyjść kolejna i wyprzeć poprzednią. Tym razem była zbyt pociągająca i nie dała o sobie zapomnieć.

# I.

**„Nie podążaj tam gdzie wiedzie ścieżka.  
Zamiast tego pójdź tam gdzie jej nie ma  
i wytycz szlak”**

*Ralph Waldo Emerson*

Otworzyłem oczy i wyłączyłem budzik. Z powodu podniecenia przed wyprawą, nie mogłem zasnąć. Zawsze tak jest. Jeśli musisz wypaść się przed kolejnym dniem, jeśli czeka Cię coś ważnego i wiesz, że rano musisz być świeży i wypoczęty, to... zapomnij o śnie. Specjalnie połóżysz się wcześniej, ale nie zaśniesz. Będziesz wiercić się w łóżku, a potem czując narastającą presję czasu - tylko pogrążysz się w panice i zupełnie się rozbudzisz.

Nad ranem przyśniesz na chwilę ze zmęczenia, ale gdy zadzwoni budzik, będziesz miał wrażenie, że wcale nie spałeś.

Dochodziła 3 rano, więc musiałem sprawdzić po raz ostatni mój ekwipunek, zjeść coś na szybko i ruszać. Niepewny czy mój transport się pojawi, usiadłem i rozmyślałem czy przypadkiem nie zapomniałem o czymś bardzo istotnym, czymś

co będzie mi potrzebne, a do tej pory nie przyszło mi do głowy. Co prawda zrobiłem trzy oddzielne listy rzeczy, żeby tak się nie stało, ale kto może do końca przewidzieć, jakie rzeczy będą potrzebne przez miesiąc życia w pontonie...

Przyjechał Bartek. Załadowaliśmy cały bagaż i ruszyliśmy do Włocławka na pociąg. Dobrze, że kasy biletowe były otwarte, bo niełatwo było nieść to wszystko we dwóch na peron, a co dopiero mówić o poszukiwaniu konduktora w środku. Wkrótce dylizans nadjechał, a jako że czas już prawie wakacyjny - pustych miejsc nie było za wiele. Ciągłe ziewając władowałem wszystko przez te kilka schodków i odnalazłem swój przedział.

Otworzyłem drzwi i zobaczyłem zaspane miny pasażerów. Starając się robić jak najmniej hałasu, przeprosiłem siedzącego na moim miejscu pana i patrzyłem, jak zamienia się miejscami z kobietą, która to podsiadła jego. Ta również siedziała na przywłaszczonym miejscu, więc ruch się zrobił jak w warszawskim tramwaju w godzinach szczytu. Ciężko było się pozbyć wrażenia, że miny tych ludzi są mi (czyli intruzowi, który wtargnął w ich uporządkowany świat nocnej podróży) coraz mniej przychylne. Scena miała jednak kilka odsłon, a my dopiero znajdowaliśmy się w prologu.

Po dość szybkim uporaniu się z uporządkowaniem nieuporządkowania zajmowanych miejsc, skierowałem wzrok trochę wyżej, czyli na półki z bagażami. Ludzi pełno, bagaży wcale nie mniej...

Rzuciłem gdzieś w powietrze bezosobowe pytanie: „Czy mogę to przesunąć?” - po czym, nie czekając na odpowiedź, rozpocząłem przemeblowanie starannie ułożonej góry toreb, walizek i plecaków. Chciał nie chciał, musiałem tam jeszcze znaleźć miejsce na kilka własnych tobołków.

Zostawiłem na siedzeniu mały, podręczny plecak z najważniejszymi (a nie najcenniejszymi - bo to, co najcenniejsze, nie zawsze jest najważniejsze) rzeczami i wróciłem na korytarz. W pierwszej kolejności wziąłem duży plecak z ubraniami i gąbkę, którą znalazłem kilka dni wcześniej w lesie, a która miała mi służyć za oparcie w pontonie. Ulokowałem to gdzieś na owych półkach, po czym, ku rosnącemu niezadowolaniu pasażerów - wyszedłem ponownie. Wróciłem po raz kolejny z kilkoma kłopotami i coraz bardziej zdumiony, że się to wszystko jakoś mieści, ulokowałem to w przestrzeni bagażowej. Z każdą chwilą trudniej było mi się oprzeć wrażeniu, że czuję rosnącą żądzę mordu w przedziale. Dobrze jednak, iż właśnie wychodziłem na korytarz po raz ostatni, tym razem powracając z wielkim, zielonym workiem i wystającymi zeń wioślami. Miny współpasażerów teraz już nie wyrażały niczego, a ja zdecydowanie wolałem nie wnikać w panujące nastroje. Usadoviłem się na swoim miejscu, na kolanach postawiłem sobie ów wielkogabarytowy bagaż i śmiejąc się sam do siebie, zamknąłem oczy. Może po to, by pot spływający po czole mi ich nie zalewał, a może po to, by już nie widzieć wzroku pasażerów.

Drzemałem, a raczej rozmyślałem o tym co mnie czeka za kilka godzin, i ucieszyłem się w duchu, bowiem konduktor komuś tłumaczył, że pociąg będzie tak zapelniony tylko do stolicy. Potem zrobi się pusto. Stwierdziłem, że szkoda mi będzie rozstawać się z przepelnionym przedziałem i duchotą w nim panującą.

Na horyzoncie pojawił się warszawski dworzec główny, ludzie zaczęli podnosić się z miejsc, a ja przyciągnąłem do siebie mój pakunek, tak by wiosła jak najmniej przeszkadzały w zdejmowaniu tobołów z półek. Po kilku minutach zamieszania i wielu skrzywionych minach zarzucających

mi wszystkie winy tego świata, ludzie wysiedli. Przedział zrobił się pusty... no, prawie pusty. Otóż, na przeciwległym siedzeniu został jeden chłopak, który od początku podróży, niewiele zmienił swoją pozycję. Na wół leżący, drzemął z zamkniętymi oczami, czasem tylko pociągając z butelki głęboki łyk wody. Miałem wrażenie, że ciągle go „suszy”.

Gdy wyjeżdżaliśmy z Warszawy, znałem już współtowarzysza niedoli (często zwanej podróżą liniami PKP), a był to „Arab”.

Wracał z kilkudniowej imprezy z Gdańska, był baardzo zmęczony i też marzył o tym, by jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Ucieszyłem się bardzo, że mam kogoś normalnego w przedziale i mogę spróbować się zdrzemnąć. On wyciągnął się na swojej kanapie, ja na swojej i nawzajem czuwaliliśmy nad spokojnym przebiegiem podróży.

Minęło kilka godzin i pojawiły się pierwsze zabudowania Krakowa, więc zacząłem wnosić wszystko w kierunku wyjścia. Arab, który znał już cel mojej podróży, zaoferował pomoc w odnalezieniu właściwego przystanku komunikacji miejskiej. Wskoczyłem z pociągu w myślach dziękując za ciekawą i bezpieczną podróż, a potem zacząłem zakładać na siebie plecaki i wszystkie toboły, które miałem. Ruszyliśmy razem, a nowo poznany kolega wziął ode mnie wiośła, bowiem wystawały z torby i utrudniały maszerowanie. Tzn. utrudniały, ale nie mi... tylko ludziom, którzy musieli omijać nas szerokim łukiem.

Ruszyliśmy w kierunku wskazanym przez Araba, a oznaczało to, że musimy przejść przez centrum handlowe połączone z dworcem głównym. Muszę przyznać, że tworzyliśmy dobraną parę, bowiem jak przystało na prawdziwego Araba, prowadził on obok siebie jucznego wielbłąda. Załadowany wszystkim co miałem, z wielką torbą i schowanym w niej pon-



tonem na głowie - rzeczywiście przypominałem przygotowane do dalekiej wędrówki zwierzę. Wzbudzaliśmy wielkie zainteresowanie, często obwieszczane za pomocą głośnego rechotu lub po prostu kilku uwag skierowanych pod naszym adresem.

Doszlśmy na jeden z przystanków, lecz okazał się nie być tym, którego potrzebowałem. Szukaliśmy dalej, pytaliśmy po drodze ludzi, a każda nieudana próba przyginała moje nogi coraz bardziej do ziemi. Pot spływał po czole i plecach, a my nadal krążyliśmy wkoło dworca. Spotkaliśmy w końcu starsze małżeństwo, które to wskazało nam właściwy tramwaj. Arab policzył przystanki i powiedział, że na piątym muszę wysiąść. Upchnął wiosła z powrotem do torby na mojej głowie i po krótkim, acz bardzo życzliwym pożegnaniu, ruszył w swoją stronę.

Podczas wsiadania do tramwaju musiałem niezłe się nagimnastykować, aby zmieścić się w tych, wcale przecież nie-małych drzwiach, a potem uważać na głowy ludzi, którzy uchylali się przed wystającymi piórami wiosł. Opieram się o siedzenie, bo przecież nie będę tego wszystkiego zdejmował! - te pięć przystanków mogłoby nie wystarczyć, żeby załadować na siebie cały majdan.

Chcąc nie chcąc, muszę wysiadać i ruszać dalej. Przeciskam się przez drzwi i wychodzę na ulicę. Dochodzę do chodnika i spotykam idących z tłumem dziadków, którzy uprzednio wskazywali mi właściwy tramwaj. Ów Pan mnie zauważa i mówi, że powinienem przejechać jeszcze dwa przystanki, inaczej będę miał naprawdę kawał drogi do przejścia...

Na szczęście mój dyliżans stoi na czerwonym świetle, a drzwi są nadal otwarte - ruszam więc co sił w nogach i w ostatniej chwili wpadam do środka, po drodze prawie rozwalając drzwi tramwaju.

Rozglądam się po twarzach współpasażerów i odnoszę wrażenie, że już dzisiaj widziałem gdzieś podobne miny... Co jednak wyrażają, tego do końca nie wiem i chyba wiedzieć nie chcę.

Wyskakuję owe dwa przystanki dalej i maszeruję chodnikiem, zajmując całą jego szerokość. Gdy widzę kogoś nadchodzącego z przeciwka, schodzę na trawnik i dzięki temu możemy spokojnie się minąć. Tutaj jednak nie burzę porządku ustalonego w przedziale, ani nie macham wioskami nad ludźmi siedzącymi w tramwaju, więc miny i spojrzenia są mi jakoś przychylniejsze. Kilka osób śmieje się, że wyglądam jak wielbłąd, ktoś pyta dokąd się z tym wybieram, a ja ze śmiechem odpowiadam: na WISŁĘ!

Bardziej na czuja niż po mapie, dochodzę do sklepu, w którym mam odebrać zamówioną kamerę. Telefonicznie dogadałem się z właścicielem i wszystko było ustalone, więc gdy wszedłem do środka i powiedziałem o co chodzi, już naładowana kamera czekała na mnie na półce. Biorę więc nowy nabytek i wychodzę przed sklep, by chociaż chwilę posiedzieć i odpocząć. Pomimo dobrej, a nawet bardzo dobrej kondycji, odczuwam ciężar tych wszystkich rzeczy, a kark błaga o chwilę wytchnienia od dźwigania ciężkiego pontonu.

Siedzę i rozkoszuję się piękną chwilą, gdy pot powoli przestaje zalewać mi oczy, a wtedy to wychodzi chłopak ze sklepu i pyta dokąd się wybieram. Po chwili rozmowy, pomaga mi na mapie znaleźć najkrótszą drogę nad Wisłę i przez chwilę rozważam nawet opcje zwodowania się na pobliskiej rzeczce, która 3 km dalej wpada do Królowej Polskich Rzek.

Szykuję się powoli do dalszej wędrówki i nagle słyszę pytanie:  
- Może cię podwieźć?

Słyszeliście kiedyś chóry anielskie? Symfonię Mozarta? Śpiew słowika? To NIC w porównaniu z tym co usłyszałem. Nic, absolutnie nic, nie mogło zabrzmieć piękniej niż słowa, które powoli docierały do mojej świadomości!

Z radością odpowiedziałem, że tak, chętnie, jak najbardziej, owszem, już, teraz, natychmiast... byle się tylko nie rozmyślił!

W drodze nad Wisłę wyjaśnił mi, że zapytał szefa czy może wyjść z pracy i mnie podwieźć, gdy bowiem zobaczył ilość bagaży, mocno się przeraził.

Dojechaliśmy do przystani Klubu Wioślarskiego, pomógł mi przenieść rzeczy bliżej wody i po wielkich podziękowaniach z mojej strony, pojechał z powrotem do sklepu.

Zniosłem wszystkie rzeczy obok właśnie układanego chodnika i dwóch pracujących tam panów, a potem wyjąłem pompkę i zacząłem dmuchać swoją łajbę. Patrzyłem na wodę, patrzyłem na rzekę i zastanawiałem się co mnie dziś, ZA CHWILĘ, czeka. Oprócz informacji, które gdzieś wynajdywałem, niewiele wiedziałem o rzece i pływaniu po niej. Machałem nogą pogrążony w myślach, gdy nagle usłyszałem głos:

- Co, do Gdańska? - doleciało do mnie gdzieś z góry.

Spojrzałem w tym kierunku i zobaczyłem, że na balkonie jednego z budynków przystani stoi pan, który wyglądał na wilka morskiego, a chwilę później okazało się, że pierwsze wrażenie wcale mnie nie myliło. Jak sam stwierdził, przepłynął Wisłę kajakiem kilkakrotnie, zna ją bardzo dobrze (na tyle, na ile można znać ciągle zmieniającą się rzekę), a teraz szkoli młodych kajakarzy. Cały czas machałem nogą pompując kolejną komorę pontonu, a rozmowa z tym panem dodawała otuchy. O wiele rażniej było mi, gdy przed odbi-

ciem od brzegu mogłem się czegoś dowiedzieć. W międzyczasie dołączyli do rozmowy panowie układający kostkę brukową, z niedowierzaniem powtarzając pytanie, czy aby na pewno dobrze się czuję chcąc płynąć TYM (tu wymownie wskazywali na mój ponton) po wielkiej wodzie...

Napompowałem komory, zacząłem ładować wszystko do środka wg wcześniej obmyślnego planu i uświadomiłem sobie, że zapomniałem o wodzie. Wodzie do picia, która mimo, że nie najcenniejsza, to z pewnością najważniejsza!

Zostawiłem sprzęt pod opieką budowlańców i ruszyłem do najbliższego sklepu. Biegłem w podskokach, nie mogąc doczekać się odbicia od brzegu i rozpoczęcia podróży, która na dobrą sprawę już trwała i dawała się we znaki.

Kupiłem dwa duże baniaki wody, chleb i kilka zupek chińskich. Wróciłem na brzeg i poprosiłem majstrów o zrobienie mi zdjęcia, tuż przed odbiciem od brzegu.

Wsiadłem do pontonu, odwiązałem cumę i słysząc po raz pierwszy w moim życiu życzenia „stopy wody pod kilem”, przeszczęśliwy odbiłem od brzegu.

Odepchnąłem się od pomostu, wsadziłem wiosła w dulki i pomknąłem z biegiem rzeki. Ściślej rzecz ujmując, to ledwo się poruszałem, bo woda bardziej przypominała jezioro niż rwący potok, niemniej jednak jakiś ruch wody był wyczuwalny.

Do Gdańska był kawał drogi, kawał wody, mnóstwo przeszkód i czegoś, co czekało na mnie w oddali, a o czym pojęcia mieć nie mogłem.



*Fot.1 Chwilę przed odbiciem od brzegu w Krakowie.*

„...Nie musisz widzieć całych schodów. Uczyni tylko pierwszy krok” - powiedział Dr. Martin Luther King junior. Pierwszy krok został wykonany, bo oto siedziałem w pontonie na środku Wisły.

Cóż mogłem jednak robić dalej, dokładnie w tym momencie? Mogłem wiosłować.

I tak oto zaczęła się moja praca na wiosłach, która sprawiła, że litry potu moczyły moje plecy, a odciski na dłoniach piekły wieczorami. Po lewej stronie podziwiałem Wawel, grotę zięjącego ogniem smoka i wycieczki, które spacerowały spokojnie, zupełnie nie dzielając uczucia strachu i niepewności, które dla mnie były teraz wielkości Tatr. Rzeka była dosyć wąska, niemniej jednak wiedziałem, że to WISŁA!